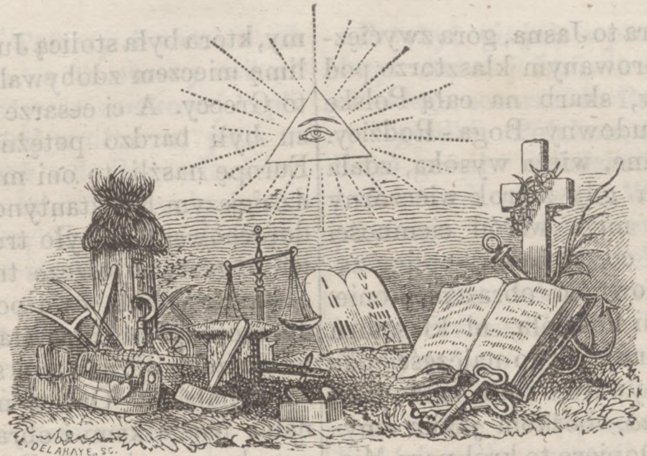
№ 31.

WARSZAWA

3 Sierpnia

1862.

REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnéj Nr 1527.



„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

TREŚĆ: *Historya Częstochowy.— Zle wychowanie.— Różności: Examina w szkółkach w Kunicach, Trajanie i w Prymusowej Woli; Pożyczki p. Piotrowskiego w Bydgoszczy; Domy przytułku ks. Felińskiego; Szkółka w Chabnie; Nauka pisania dla młodzieży poczynającej p. Oleszczyńskiego.*

Historya Częstochowy.

I.

Do Częstochowy na odpusty gromadami chodzą ludzie. Od Zielonych Świątek, aż do Narodzenia Matki Najświętszej z różnych miejsc zbierają się kompanje, śpiewają pobożne pieśni i ciągną do świętego miejsca. Księża Paulini z klasztoru na Jasnej Górze, jak usłyszą śpiew pobożny, a zobaczą nową kompanję, to biorą krzyż święty, a chłopcy chorągwie i idą witać przybywających, do figury świętego Pawła Pustelnika, co stoi przy wnijściu na górę. Tam wszyscy odkrywają głowy, padają na kolana, a najczęściej ksiądz który, przemawia do skruszonych ludzi. Nieraz nie odpoczną jeszcze ludzie z drogi, kiedy już dzwonią na nieszpory, tłoczy się każdy do kościoła, przechodzi go śpiesznie; ledwie przyklęknie przed wielkim ołtarzem, śpieszy do kaplicy, bo tam Obraz cudowny, tam Matka, tam Królowa, tam Pocieszycielka strapionych, tam uzdrowienie chorych, tam nadzieja i ucieczka nasza! Tam padają ludzie na ziemię, a jak na chórze odezwą się flety i trąby i wzniesie się blacha, co cudowny obraz zakrywa, nieśmiało na niego podnoszą oczy i głośny płacz rozlega się w kaplicy. Zwyczajnie jak dzieci strapione przychodzą z pożaleniem do Matki. A Matka i Królowa w niebie, nieraz też znać daje, że płacz i modlitwa utrapionych sierot, dochodzi do niej, bo zsyła opuszczonym pomoc, nieszczęśliwym ratunek! Kto się urodził na Polskiej ziemi, od dziecka wie, że Częstochowa cudowne miejsce, ale jakie się tu cuda działy, w jakich to czasach, jacy królowie, książęta, hetmani, rycerze, lud mnogi, znosili tam ofiary i polecali potrzeby swoje; jakie to klęski nawiedzały to miejsce, a jakie świetne dni dlań nastawały? to może nie zawadzi dla pamięci zebrać, i z rzędu dobrym ludziom opowiedzieć.

Dwadzieścia mil od naszego starego Krakowa, ośm mil od miasta Wielunia, co także kiedyś inaczej wyglądało i lepsze czasy pamięta, niedaleko od Szląska i od Morawskiej granicy, wśród wielu pomniejszych pagórków, których boki bieleją wapiennym kamieniem, wzno-

si się wyższa góra. Góra to Jasna, góra zwycięztwa, a w niej, w obmurowanym klasztorze pod strażą OO. Paulinów, skarb na całą Polskę najdroższy, obraz cudowny Boga-Rodzicy. We dnie, mury obronne, wieża wysoka, zdala ukazują to miejsce, a gdy zmrok wieczorny wieże i mury osłoni, miga wśród ciemności światełko od lampki, co zewnątrz kaplicy zawieszona, przed cudownêm obrazem płonie. Kiedyś, ni obrazu, ni kościoła, ni klasztoru tu nie było, a na górze jak to najczęściej za pogańskich czasów bywało, stała może jaka świątynia czyli *kontyna*, bożkom jakim zmyślonym postawiona. Dopiero to król nasz Mieczysław lat temu blizko tysiąc, topić kazał drewniane bałwany, a w miejscu obalonych pogańskich świątyń, stawiać chrześcijańskie modrzewiowe kościoły. A za syna jego króla Bolesława Chrobrego, rozległ się na Polskiej ziemi, jak długa i szeroka, hymn na cześć Najświętszej Panny, stara ona pieśń, do zwycięztw przewodniczka, pieśń „Boga Rodzica!“

I zdaje się, choć na to dokładnych świadectw niema, że właśnie w tym czasie, kiedy twórca tej pieśni Śty Wojciech na ziemi naszej gościł, a z Krakowa do Gniezna częste odbywał przejażdżki, że właśnie wtedy na drodze tych jego wędrówek, stanęło u stóp góry miasteczko Częstochowa, a na jej szczycie Bolesław Chrobry wzniósł pierwszy drewniany kościołek. Mówią też, że tę górę miał w szczególném upodobaniu święty Wojciech, że on ją nazwał Jasną, przepowiadając, że na niej moc Boża w cudach zajaśnieje. A spełniać się zaczęła Wojciechowa przepowiednia wtedy, kiedy już dogasał ród Piastów, co lat przeszło 500 nad Polską panował, i kiedy siedział na tronie ostatni tego rodu potomek, siostrzan Kazimierza Wielkiego króla Chłopów, Ludwik król razem Węgierski i Polski. Wtedy to pokrewny jego Władysław, książe na Opolu, który i w Polsce wiele zamków trzymał, obraz ten cudowny z Rusi sprowadził. A jako ten obraz przez świętego Łukasza, za życia jeszcze Najświętszej Panienki malowany na cyprysowym stole, co stał w jej ubożuchnym domku w Nazarecie, jako ten obraz mówię, dostał się na Ruś, zaraz wedle tego jak w starych księgach pisze, opowiem:

Otóż z Nazaretu, gdzie mieszkała Najświętsza Panna, obraz ten dostał się do Jerozolimy, która była stolicą Judzkiego kraju. Jerozolimę mieczem zdobywali cesarze to Rzymscy, to Greccy. A ci cesarze Greccy, swojego czasu byli bardzo potężni i nim Turcy z Azyi Europę naszli, to oni mieli stolicę w tureckim dzisiejszym Konstantynopolu, gdzie kościołów dorachować się było trudno, a wypowiedzieć ich bogactwa jeszcze trudniej. Grecką tedy cesarzową była owa pobożna Helena, co do Jerozolimy jeździła, śladów życia i męki Pana naszego Jezusa tam szukała, drzewo krzyża wynalazła. Ona to najpewniej wraz z innemi pamiątkami i obraz ów do Konstantynopola przywiozła. Przyszło też w tamtych stronach na ludzi takie obłąkanie, że im się wydało bałwochwalstwem obrazy chować, lub w kościele je umieszczać. Więc przezwali się z grecka *Ikonoklastami* i zapamiętale poczęli niszczyć, palić wszystkie święte obrazy. Byłby i nasz obraz Częstochowski wtedy zniszczał, gdyby go nie ukryła i nie ocaliła była inna cesarzowa: Irena.

Tymczasem na zachodzie Europy, gdzie dziś Francya, Włochy, Niemcy, Hiszpanja, powstało drugie Cesarstwo, Zachodniem zwane, a na cesarza Zachodniego ukoronował papież Karola Wielkiego. Ten był potężny i bali go się i cesarze Greccy czyli Wschodni i nieraz go darami ująć chcieli, dali mu też raz między innemi i ten obraz cudowny w darze a on go umieścił w mieście Akwisgranie, gdzie miał swoją stolicę.

Ale to jego wielkie Zachodnie państwo, nachodzili mu z puszcz azyatyckich przybyli Arabowie, których wtedy Saracenami zwano i przez całe życie, ciężkie z nimi wiódł boje. Że zaś jakoby na pograniczu Azyi i Europy i na drodze owych barbarzyńców leżały różne kraje Rusi, którym różni panowali książęta, więc jednemu z takich książąt, co Saracenów bić pomagał, darował ten obraz Karol Wielki, a ów książe umieścił go w Bełzie i tam długi czas zostawał.

Kraje te Ruskie poddały się królowi Polskiemu Kazimierzowi Wielkiemu. Po owym to Kazimierzu był królem Ludwik Węgierski, który osobliwie miłując krewnego swojego Władysława Opolczyka, w Polsce mu wiele zamków trzymać pozwalał, a na Rusi nadał mu miasto Bełz. Już tam w Bełzie obraz ten cudami zasłynął. Raz, wielką gromadą a nie-

spodziewanie wpadli Tatarzy i chmara ich zamek książęcy obległa, a tu obrony znikąd! Książe Władysław bieży do zamkowej kaplicy, gdzie obraz pomieścił w ołtarzu, pada na kolana, wzywa pomocy od Boga-Rodzicy. A w tém oknem wpada tatarska strzała wprost w księcia wymierzona, słysząc swiszczącą, książe uchyla głowę, a strzała więźnie w szyi Najświętszej Panny. „Jako? zawoła książe, Pani świata, nie pomścisz się na niewiernych za zniewagę tobie wyrządzoną?“ A ledwie to wyrzekł, ciemności wielkie na około zaległy, przerażeni Tatarzy wzajem się zabijając z dzikiemi krzyki uciekli.

Książe Opolski potém już lękał się skarb tak wielki w Bełzie zostawić, a przemyślać począł, gdzieby obraz cudowny w bezpieczniejsze miejsce przenieść. A że i Szlązka był książęciem, boć na Szlązku jest ów Opol, od którego Opolskim go zwano, więc do Opola uwieść go postanowił. We śnie jednak jak powiadają, objawiła mu się Najświętsza Panienka, że Jasną-Górę w Częstochowie, na miejsce pobytu upodobała sobie. Posłuszny temu objawieniu książe, zabrawszy obraz z Bełza, przywiózł go do Częstochowy we Środę po świętym Bartłomieju r. 1382 i do kaplicy drewnianej na Jasną Górę sprowadził.

Jaką ten obraz tu cześć odbierał, a jako Matka Najświętsza nad krajem naszym dowodziła w tém szczególnem miejscu opieki swojej, dalej wam opowiemy.

II.

Tego samego roku, w którym cudowny obraz na Jasną Górę sprowadzony został, umarł król Ludwik bez męzkiego potomstwa, dwie tylko córki zostawiwszy. Choć za wolą ojca i poniewolną zgodą narodu, tron Polski przypaść miał starszej z tych córek Maryi i niemieckiemu jej mężowi Zygmuntowi, choć król Ludwik i młodziuchną już Jadwigę zaręczył także niemieckiemu książęciu, i tym sposobem w obłędzie rozumu Polskę na zatratę Niemcom oddawał, przecież Bóg miłościwy, inaczej tém wszystkiem rozporządził, a Polska nietylko że wtedy obcym nie uległa, ale owszem pod rodem Jagiełłów, których małżeństwo Jadwigi wprowadziło, takim szczęściem, taką potęgą, taką sławą zakwitła, jakiej przedtém nie było, a jaka potém na krótko już chyba za jednego Batorego zabłysła!

Przybył ci już wprawdzie ów małżonek Maryi starszej Ludwikowej córki, a syn niemieckiego cesarza do Polski, ale choć układny i gładki, Polakom się nie spodobał i niedługo gościł. Młodziuchną Jadwigę sprowadzono do Krakowa z Węgier, a ta szczęścia własnego, miłości pierwszej się wyrzekła, i widząc w tem dobro religii i kraju, przyjęła za męża Litewskiego księcia Jagiełłę, co ślubował chrzest Litwy i zbratanie jej z Polską. Nowy tedy a gorliwy chrześcijanin Władysław Jagiełło, w cudownem miejscu Częstochowie, nie jedną pamiątkę tej pobożnej gorliwości swojej zostawił.

On to zbudować kazał tę kaplicę, gdzie dotąd obraz cudowny spoczywa. On księżom Paulinom nadał pewne fundusze, żeby na Jasnej Górze się utrzymali, a obrazu strzedz mogli, a to jak się sam w tém nadaniu wyraża: „aby dzień ostatniego sądu miłosiernemi uczynkami dla siebie i dla najmilszej swojej Jadwigi uprzedzić.“ On wreszcie do wyposażenia księży Paulinów dodał jeszcze wieś Kalej, pod warunkiem, żeby wiecznemi czasami każdego dnia, jak długo zakon w tem miejscu istnieć będzie, msza jedna za niego i za żonę jego i za królów przodków, odprawioną była.

Królowa zaś Jadwiga, w niewieści sposób cześć swoją do świętego miejsca okazała, gdy własnemi swemi rękami z pereł kosztownych piękny ornat wyszyła, który dotąd wraz z innymi kosztownemi darami, w skarbcu spoczywa.

Tak tedy hojnością królewską wspierany, wzrastał w pomyślność kościół i klasztor na Jasnej Górze, gdy zbrodnicza ręka targnąć się na niego poważyła.

Właśnie gdy w r. 1430 król Jagiełło Wielkanoc w Kaliszu obchodził, garstka rozpustników, ludzi bez czci i wiary, połączywszy się z pogranicznem łotrostwem, wykonała napad na nieprzygotowany klasztor. Bezbożni ci zuchwalcy, zrabowali bogactwa kościelne i sam obraz cudowny porwali, z największym pośpiechem ku Szlązkowi umykając. Lecz jak dawne podanie mówi, ledwie kilka stai ujechali, gdzie dziś kościół Śtej Barbary stoi, wóz wyładowany stanął i ruszyć z miejsca nie chciał.

Jeden z zacieklejszych zbrodniarzy przypisując to obrazowi, świętokradzką ręką na ziemie go zrzucił, dwa razy twarz świętą pała-

szem ciął, i odtąd to na obrazu są te odwieczne kresy, które jak powiadają, żadnym sposobem zamalować się nie dadzą. Gdy do trzeciego cięcia się zamierzał, uschła mu ręka zuchwała, co widząc towarzysze jego przelęknieni, czemprędzej uciekać poczęli. Nie zdołali jednak uciec przed sprawiedliwością nie tylko Boską ale i ludzką. Jedni wykryci pod miecz dali głowy, drudzy marnie wyginęli. Porzucony zaś obraz odnaleźli księża Paulini, a widząc takie srogie jego sponiewieranie, padli na kolana do Boga ze łzami wołając. I miało im w tém miejscu cudowne źródło wytrysnąć, w którém oni obraz obmywszy, z wielką czcią do kaplicy na powrót odprowadzili. O taką zniewagę miejsca świętego, skargę do króla ponieśli, a on monarcha pobożny i sprawiedliwy, ujął się za krzywdą religii wyrządzoną, łotrów wykrył, śmiercią ich ukarał, a dla przymnożenia świętemu miejscu nowej czci i ozdoby, nowe dary złożył. Wtedy to ofiarował promienie ze srebra ciągnione, pozłociste i drogiemi kamieniami wysadzone, których już niema.

Rycerski syn jego, także Władysław, Warneńczykiem zwany, że pod Warną zginął, piersiami swemi i rycerstwa swego zasłaniając cały świat chrześcijański od mazułmańskiej potęgi Turków, nie miał czasu myśleć o ozdobie świętego miejsca. Niema śladu by odwiedzał Częstochowę, zasłużył on się i tak Bogu, gdy bezustannie w obronie wiary świętej walczył i młode życie w obronie tejże wiary i Ojczyzny położył, a wieczną pamięć między chrześcijaństwem zostawił.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Złe wychowanie.

W Kołodziejewie mieszkali Bełdziaki. On chuderlawy, nizki, ona tęga kobieta; on przed nią jak trusia, a ona obok niego jak paw'. Mieli syna, chłopak rosł jak dąb, silny, szeroki był w ramionach, wysoki, a pomimo dziecinnego wieku, znać było, że na silnego mężczyznę wyrośnie. Aż pociecha brała patrzyć na niego. Każdy to widział, że za łaską bożą i jeżeli starać się będą o dobre wychowanie, kraj będzie miał z niego pożytek. Bełdziak był niczem w domu, Bełdziakowa rządziła, ona też pozwalała na wszystko kochanemu Kubie. Kochała go bardzo; ale kochać można źle i dobrze. Z dobrego kochania, dobre staranie o wychowanie dziecka i dobre owoce; a ze złego kochania, złe staranie i złe owoce bywają. Ażeby to jaśniej wytłumaczyć, opowiem wam jak Bełdziakowa wychowała swojego jedynaka.

Gdy Kuba jeszcze był małym dzieciakiem, wołała matka:

— Kubuś chodź do pacierza.

A Kubuś: bęch, bęch, nie pójdę... bęch, bęch.

A matka na to: No, no, cyt kochanku, cyt, naści bułeczkę, albo różek od séra.

Kubuś jadł bułeczkę albo różek od séra, i tak rósł nieumiejąc pacierza i przykazań bożych. Szedł w lata hożo i zdrowo, ale rósł jak dzika płonka, nic nie wiedząc, ani rozumiejąc. Nie był chrześcijaninem, nie był Polakiem, to jakiż pożytek mogli mieć z niego ludzie? kraj? rodzice właśni?

Ksiądz proboszcz z ambony zaklinał ludzi, żeby dzieci posyłali do szkoły. Ten i ów widząc w tém dobre i dla siebie i dziatek, zaczął je posyłać. I Bełdziak nie był od tego, tylko Bełdziakowej nie widziało się to jakoś. Jednakże gdy zobaczyła, że inni posyłają, wysłała i ona swego Kubusia. Od szkoły do Kołodziejewa, było nie dalej jak trzy staja, więc chodził Kubuś jeden dzień, drugi, kontent że się z chłopakami mógł pobawić na drodze, ale trzeciego dnia jak go przysadzili do elementarza, czwartego już do szkoły pójść nie chciał.

— Biegaj do szkoły! woła matka.

Chłopak siedzi.

— Biegaj do szkoły, rozumiesz?

A chłopak nic, jeno dudki stroi, aż rozbeczał się.

— Czemu beczysz? czemu nie idziesz? woła Bełdziakowa.

— Bo koło młynka straszy.

— A przecież inne dzieciaki chodzą, a nic ich nie straszy.

— Ale... nic... powiada Kubuś, taki czarny pies wyleciał...

— To młynarski, choć to ja cię odprowadzę.

— Ale... młynarski tam, nie pójdę, bo daleko do szkoły.

— Idź mi zaraz!

— Nie pójdę...

I znów się chłopak rozpłakał. Za ptakami, albo w strąki, to mu nie było daleko, choć cały dzień za niemi latał i nie bał się czarnego psa, bo wszystkie psy w Kołodziejewie znały go dobrze i uciekały przed nim, tak im się dał we znaki; ale mu się nie chciało, jak każdemu dzieciakowi, a Bełdziakowej żal było przymuszać chłopaka. A gdzież dziecku najwłaściwiej wprawiać się do pracy poczciwej, jeśli nie w szkole? nad książką? Do pracy, która go całe życie czeka? Bo choćby kto był i najbogatszym, to pracować musi, a cóż dopiero ten, który z rąk ma utrzymanie. Dziecka siły za słabe są do posługi domowej, przemarnuje i przewałęsa cały dzień boży, gdy w szkole mógłby czas użytecznie przepędzić.

A jeszcze muszę wam powiedzieć, że w Kołodziejewie mieszkał brat stryjeczny Bełdziaka, a ojciec chrzestny Kuby, nazywał się Józef. Józef był biedny, morgownik, jakoś mu nie szło, żonę stracił wcześnie, żenić się drugi raz nie chciał, a syna jedynego Felka posyłał do szkoły. Jak mógł, to ostatni grosz wydobywał na książkę dla niego, a nawet do organisty posyłał go, aby się grać na skrzypcach nauczył. W karczmie rzadko kiedy można było zobaczyć Józefa. Pracował, a co tylko zaoszczędził, wszystko łożył na to, aby się Felek jak najwięcej mógł nauczyć. Felek uczył się dobrze, ksiądz proboszcz, nauczyciel, odchwalić się go nie mogli, a organista, co go uczył przebierać palcami po skrzypcach, mówił, że kiedyś bardzo ładnie grać będzie.

Felek i Kuba byli w równym wieku. Ale kiedy Felek usługiwał do mszy świętej, Kuba nawet pacierza nie umiał. Felek wyszedł ze szkółki, poszedł do dworu na owczarka, brał zasługi za swoją pracę, grywał sobie za owcami na skrzypeczkach wesołe, albo smutne piosneczki, i nie był ojcu ciężarem, a Kubuś jeszcze w najlepsze bąki zbijał. Dorośli oba chłopacy do 14go roku.

Przyszedł czas grabienia siana. W Kołodziejewie łąki były duże, siana huk, pan zachęcał żeby ludzie do roboty wychodzili, kto chciał mógł zarabiać. Bełdziakowa po południu wyszła z grabiami, a dziedzic stoi i pyta:

— Moja Bełdziakowa, macie chłopaka, czemuż go nie posyłacie do roboty?

— A proszę pana, bo to jeszcze dzieciuch mały, odrzekła Bełdziakowa.

— Nie taki on dzieciuch mały, żeby nie podołał z grabiami, a jeśli siedzi w domu, to cóż robi? Lepiej posyłajcie go do szkoły.

— A kiedy nie ma czasu chodzić do szkoły.

— Cóż on robi w domu?

— A to krowinę na rowach przypasa.

A panu na to markotno się zrobiło, roboty był nawał, a tu próżniak we wsi, więc rzekł:

— A czemuż nie odganiacie z dworskiem, kiedy tak być powinno? Mnie psujecie tym sposobem rowy, bo je bydło rozdepcze i jeszcze w szkodę wpadnie, dla was strata, bo chłopak jeśli nie do szkoły, to mógłby do roboty chodzić, jeśli nie do grabi, przyślijcie go do maszyny do poganiania koni. A wreszcie choć mi ludzi bardzo potrzeba i zobowiązani jesteście kontraktem do posyłania za najem, miałbym wzgląd i niebym nie mówił, gdyby do szkoły chodził. Tak próżnować nikt nie może, najgorsze złe z próżnowania. Albo do roboty, albo do szkoły chłopaka!

— To już od niedzieli przyjdzie do roboty, odpowiedziała Bełdziakowa pokłoniwszy się dziedzicowi. A gdy odeszła powiedziała do siebie:

— Juści, będę go tam posyłać do szkoły, głupstwo z tą szkołą, wymyślili coś, darmo się chłopak ma męczyć. Albo poślę go pewno do maszyny, jeszcze spadnie z dyszla i zabije się.

I od niedzieli nie posłała go ani do szkoły, bo uważała to za głupstwo, ani do roboty, bo był niby za mały. A gdy jeszcze mniejszym był Kuba, Bełdziakowa ile razy szła do karczmy brała go z sobą i przyzwyczajała do wódki i psuła krew w dziecinie. Niema to większej szkody jak dzieciom wódkę dawać. Umierały dzieci na szkarlatynę, doktór mówił, że dla tego wyleczyć je trudno, bo za bardzo młodo do wódki przyzwyczajone. Ale gdzietam, Bełdziakowa nie myślała o tem, co z Kubusia będzie, ale tylko o tém, aby dziś go zadowolnić.

Takie to widzicie było złe kochanie i złe wychowanie dziecka, to też i gorzko wypłacił się Kubuś.

We dworze sprzątnęli siano, przeszły i żniwa, a Kubuś nie był ani razu u jakiejkolwiek roboty, ani go ludzkie oko w szkole nie wi-

działo. Wyprawiał psoty. Na milę w około wiedziano o nim, tam go w ogrodzie złapali i obili, owdzie bydło wpędził umyślnie w szkodę, tam gąsięta na stawie pozabijał. Przyszedł kto do rodziców poskarżyć się na niego, Bełdziakowa wyprosiła, wytłómaczyła, czasem jeszcze powstała na tego co skarżył się o krzywdę swoją, albo wymawiała że Kubuś *planetnik.*

Wisus był ci on wielki, ale nie planetnik. Jakby to mogło być, żeby Pan Bóg stworzył człowieka na to, żeby dokuczał drugim, żeby był urwisem? A toć Pan Bóg przecież jest sprawiedliwym. Człowiek zły, musiał być zawsze źle wychowany, i dla tego też według pisma świętego dzieci pokutują za winy ojców, bo jakże dzika jabłonka ma słodki owoc wydać? I z pestki dzikiej gruszki, ogrodowa nie wyrośnie. Ale dobry ogrodnik, w dziką płonkę szczepi dobrego owocu gałązkę i dobrzy rodzice uczą od młodu dziecko, czem ma być później. Gdy ogrodnik niedbały, tylko owoc traci, a rodzice niedbali, wszystko złe jakie dziecko robi, biorą za swoje i odpowiadają za ich życie, z ktorego kiedyś rachunek na sądzie ostatecznym zdać muszą. Mówią starzy ludzie, że dawniej kiedy kat miał ścinać kogo, wołał do ludzi: „Ojcowie, matki! wychowujcie dobrze dziatki, bo ja karać je będę!“

W całym Kołodziejewie Kuba każdemu dokuczył, a choć go czasem poturbował ojciec albo matka, już go to nie poprawiało. Na wołowej skórze nie spisałby psot jakie wyprawiał. Przyszła jesień, ziemniaki były dojrzałe, namówił innych chłopaków, ścięli topolę z traktu żeby mieli przyczem piec kartofle, bo im się zbierać chrust sprzykrzyło. Wójt przejeżdżał tamtędy, spostrzegł że nie ma topoli, bo się bardzo ulica oszpeciła, wywiedział się jak to było, odpokutowali chłopacy za tę psotę. Poszedł Bełdziak na użalenie do brata Józwa. Przychodzi i prawie z płaczem rzekł:

— A mój Józwie, już też z moim chłopakiem rady sobie dać nie mozemy i wczoraj go u wójta oćwiczyli.

— Ja tam z mojego chłopaka dzięki Bogu mam pociechę, służy za owczarka. Na ten rok postąpili mu 50 złp. zasług i parę butów i mnie oto chłopczysko przyniósł onegdaj czapkę, co ją na jarmarku za swoje pieniądze kupił.

— Ba, boć wasz Felek, to już był taki dobry i wy tak jakoś potraficie...

— Mój Felek, odrzekł Józef, także był takiem dzieckiem jak i wasz Kuba. Mówiłem wam, że źle chowacie swojego chłopaka, bo w próżniactwie, bo mu pozwalacie na wszystko, jeszcze go psuliście sami. Potrzebny to on był w karczmie? Albo ta pasionka przy jednej krowie? Przy pasionce wszystkiego najgorszego się uczy, bo nie ma co robić, tylko o zbytkach myśleć.

— A przecież i wasz Felek owce pasa, i jeszcze ma mniej roboty nad owcami, jak przy bydle.

— A pasie, ale przytém to na skrzypcach pogra, to przeczyta sobie z książki, a jak przyjdzie, to aż miło posłuchać jak mówi i mnie starego niejednego nauczy. Teraz jest owczarkiem, uczy się owce pasać, jak będzie starszym, jak się już pozna dobrze na owczarstwie, będzie owczarzem nad dużą gromadą i nie będzie miał myśli o zbytkach i psich figlach.

— Prawda, odpowiedział Bełdziak, ale z moim Kubą, to już nie ma rady, toć go się i bije i cudy się z nim wyrabia i ani sposobu, to już taki planetnik, już się taki urodził i takim zginie.

— Że takim zginie, odpowiedział Józef, to być może, ale się takim nie urodził, bo się nikt złym nie rodzi, jeno złym się robi, przez złe wychowanie i on jeszcze się teraz poprawić może. Oddajcie go do mnie, może się u mnie poprawi, spróbujmy.

— A z Boga byś się począł mój Józwie, zawołał uradowany Bełdziak, zaraz jutro go przyprowadzę. I odszedł do domu.

Chłopak dowiedział się, że ma iść w służbę do stryja, drapnął więc z chałupy przed świtem, ale że go złapali, przyprowadzili go więc do stryja Józefa. Nie mogli sobie z nim dać rady z początku. Ale stryj nie żartował, a po trochu przyuczał do roboty. To kazał mu płot grodzić i sam z nim cały dzień robił, to mu kazał ziemię kopać na ziemniaki, że pomału chłopak przywykał do roboty, a w pare tygodni był cichy i posłuszny, jakby inny. Tak przebył u stryja od Śgo Michała przez całą zimę. Już umiał pacierz, od Felka nauczył się składać litery na elementarzu, a że miał ochotę grać na skrzypcach, Felek mu obiecał, że

jak czytać będzie umiał, to go grać nauczy. Tak więc ten urwis, ten planetnik, jak Bełdziakowa myślała, wyrastał ze wszystkich wad swoich, przy pracy, nauce i dobrym przykładzie: jak ten owoc dziki, co na cieple słonecznem pozbywa się kwasu, a słodkiego smaku nabiera. Widzieli to Bełdziakowie, widzieli i obcy, że się chłopak ustatkował, kontenci byli że im nad głową nic nie doskwira, że się licha pozbyli z domu. Aż tu i blizko święty Wojciech. Jaki taki gospodarz szukał chłopaka do pasionki, aż Kuba Jędrzejczak gospodarz z Kołodziejewa, spotkał się w karczmie z Bełdziakami i tyle im nagadał, że odebrali Kubusia od stryja i oddali chłopaka w służbę Jędrzejczakowi.

Znów Kubuś zapomniał czego się u stryja nauczył, łotrując po dawnemu z chłopakami, znów było go wszędzie pełno, nie było psa, któremuby ogona w drewno nie wszczepił; płota, któregoby rozwalić nie próbował; żadne gniazdo ptasie nie utrzymało się przed nim, nie było drzewka młodego przy drodze któregoby nie łamał, a wciąż myślał o tém, jakim sposobem dojść do tego, aby grać umieć. Słyszał, jak Felek na skrzypeczkach za owcami na ugorze wygrywał, a choć go się wstydził, przybiegł do Felka i prosił:

— Mój Felku, ady mnie naucz grać, to już ci dam dwa jabłka, takie ogromne... z pańskiego ogrodu i powiem gdzie wiewielga ma gniazdo.

— A mnie co po twoich kradzionych jabłkach, albo po gniazdzie wiewielgi? Idź sobie, ja nie chcę nic mieć z tobą do czynienia, odpowiedział Felek.

— Mój złoty, mój srebrny Felku, już ci dam co tylko chcesz, a naucz mnie grać na skrzypcach, nalegał wciąż Kuba.

— A cóż ty możesz mi dać, rzekł roześmiawszy się Felek, żebyś był czytać umiał, to byłbym cię grać nauczył. Idź, daj duszę djabłu, rzekł Felek żartem, niech cię grać nauczy, a mnie daj święty pokój!

— Mój Felku, to ja dam duszę djabłu, abym tylko grać umiał, zawołał Kubuś uradowany. Nie wiedział co gada, zdawało mu się, że to nie wielka rzecz stracić duszę.

— A hultaju! krzyknął Felek, idźże sobie i ani mi się pokazuj na oczy.

Poszedł Kubuś jak zmyty, ale nie opuściła go chęć uczenia się grania na skrzypcach. A Felek markotny, że ma takiego brata nicponia, wieczorem poszedł do ojca. Rozpowiedział mu jak Kuba znowu łotruje, jak chce duszę djabłu zaprzedać, aby tylko nauczył się grać na skrzypcach.

— Ha, jak go chowali, odpowiedział Józef, tak im go mają. Powiedz mu niech jutro wieczorem przyjdzie pod figurę, co stoi za pustkowiem, niech się rozbierze i czeka, i niech się nie odwraca, to djabeł przyjdzie do niego i grać go nauczy.

Nazajutrz spotkał się Felek z Kubą. Kuba znów w prośby do Felka, żeby mu powiedział, jak się to wyrzec duszy.

— Kiedy chcesz, odpowiedział Felek, idź wieczorem pod figurę za pustkowiem, rozbierz się do koszuli i czekaj, a nie odwracaj się, to tam djabeł przyjdzie do ciebie.

Zaledwie mógł doczekać się wieczora Kuba, tak mu było pilno. Ściemniło się dobrze, wiatr szumiał pomiędzy topolami, pućka gdzieś krzyczała w wypróchniałem drzewie, Kuba klęczał pod figurą, a choć mu włosy na głowie stawały, nie odwracał się, ale patrzył na figurę. Słucha, coś na drodze cap, cap, wlecze się wolno. Kuba w strachu, żeby mu djabeł głowy nie urwał, nie obraca się, a tu coraz bliżej cap, cap... Już się chciał odwrócić, zobaczyć jak ten djabeł wygląda, a tu go łap z tyłu za kark, okręciło przez piersi, ręce i plecy postronkiem i mówi, ale ludzkim głosem:

— Nie odwracaj się i nie patrz na mnie, bo ci łeb urwę. I porwawszy Kubę na ręce jak dzieciaka, przywiązało go twarzą do topoli, co o parę kroków od krzyża rosła. I zapytało:

— Chcesz grać na skrzypcach?

— Chcę, odpowiedział Kuba.

A *to* mówiło dalej wolno i wyraźnie:

— Ojciec twój pracował na ciebie, żebyś nie umarł z głodu i nie umarł od zimna, wyrzekasz się ojca?

— Wyrzekam, odpowiada Kubuś.

A *to* go łup batem aż przylgło. Krzyknął Kuba, ale z bólu myślał, że djabeł tak próbuje: bo co mu tam ojciec, on do ojca przywiązania nie miał.

A *to* mówi dalej:

— Matka twoja cię wykarmiła, pielęgnowała cię gdy byłeś małym, myła cię, czesała, nie jedną noc niedospała dla ciebie, nieraz i za-

płakała dla ciebie nieboga. Wyrzekasz się matki?

— Wyrzekam, odpowiada Kuba.

A *to* go łup znowu przez plecy.

— O, o, o, wyrzekam się, wyrzekam! wołał Kuba.

Co jemu była matka rodzona, on i matki nie kochał.

A *to* znów się pyta:

— Wyrzekasz się duszy?

— Wyrzekam, odpowiada Kuba.

— A czy wiesz jak w piekle męczą?

— Nie wiem, odpowiada Kuba.

A *to* go łup batem. Tak w piekle męczą, tak, tak, tak łotrze! i za każdym wyrazem, Kuba poczuł nowe uderzenie i nową pręgę.

— O laboga! laboga! krzyczał Kuba, mój najjaśniej wielmożniejszy panie djable, już mnie nie próbuj.

— To nie djabeł cię biję, tylko ja, twój stryj, hultaju! com umyślnie głos zmienił, żebyś mnie niepoznał; ja, co jestem twoim stryjem i chrzestnym ojcem, a jako chrzestny ojciec mam prawo i obowiązek wziąść cię do siebie. Ty nawet nie wiesz, że ojciec chrzestny, ma powinność opiekować się swoim chrzestniakiem. Ubieraj się i chodź ze mną. Ubrał się drżący i płaczący Kuba. Stryj nie żartem zaprzągł go potém do roboty. Gniewała się Bełdziakowa, ale nic mówić nie śmiała. Jędrzejczak u którego Kubuś służył dogadywał:

— Ho, wziął chłopaka, ja go ściągnę do siebie. A bo to co z niego będzie? Nic, a nic nie będzie z niego, on już taki planetnik.

Ale Kuba pod opieką stryja znowu się poprawiać zaczął, Felek nauczył go czytania, później i grać na skrzypcach. Dziś Felek już jest owczarzem, Kuba się ożenił, służy za włodarza, jeździ z wywózkami zboża, powierza mu pan duże pieniądze nawet, a w niedzielę, do tego samego Kuby, co go ludzie planetnikiem nazywali, schodzą się na czytanie, Kuba czyta i tłómaczy i w całym Kołodziejewie ma zachowanie na wsi i u państwa. Szczęście jego, że znalazł takiego opiekuna w stryju, ale gdyby nie to, cóż byłoby z niego? A któż temu byłby winien? I przez co?

Winnaby temu była matka, która mu dawała złe wychowanie.

Różności.

Dnia 29 Maja r. b. odbył się w kościele parafialnym, po nabożeństwie, examin dwóch szkółek założonych, przez plebana w Kunicach i w Trajanie. Uczniów było 58, chłopców i dziewczyn. Pleban, kollator i właściciel wsi Gawrony, examinowali i rozdawali nagrody. Do celujących należeli: Feliks Borkowski, Filip Kowalski i Wojciech Franas z Kunic; Antoni Franas i Jan Zieliński z Gawron; Maryanna Franas, Józefa Gradek i Maryanna Gradek z Kunic; Stanisław Białowąs i Michał Pawlak z Trajana; Andrzej Róg z Bukowca; Jan Pawlak z Szadkowic; Walenty Wojcik z Modrzewia; Franciszka Jurkowska, Joanna Borkowska i Franciszka Janecka z Trajan; Małgorzata Krawczyk, Eleonora Zaczyńska i Aniela Stępniak z Brzustowa; Józefa Olszowska z Benignowa. Dnia 30 Maja, takiż examin odbył się w kościele w parafii Sławno z 2ch szkółek, z Prymusowej woli i ze Sławna, w których sam dwór największy ma udział w nauce, a szczególniej guwernantka panna Marya. Nagrody również w książkach były rozdawane i w obrazkach, a dzieci było w tych szkółkach przeszło 70.

— Zamieszkały w Bydgoszczy w Poznańskiem kupiec p. Piotrowski, pragnąc przyjść w pomoc miejscowym rzemieślnikom, zamierzył udzielać im pożyczki, do wysokości 25 talarów, z procentem po 5 od sta. (*Kur. Warsz.*)

— Arcybiskup Warszawski ks. Feliński, zakłada w Warszawie dwa domy przytułku dla opuszczonych dziatek, jeden dla chłopczyków, drugi dla dziewcząt, przy obu otwierając zarazem szkółki dla przychodzących dzieci. (*Gaz. Pols.*)

— P. Horwat marszałek szlachty gubernii Kijowskicj, wraz z p. marszałkiem powiatu Radomyślskiego, p. Jaroszewiczem, założyli w m. Chabno szkółkę, dla dzieci wyznania katolickiego. (*Gaz. Pols.*)

— W maju r. b. wyszła w Warszawie: Nauka pisania dla młodzieży poczynającej, ułożona, napisana i wyryta przez Seweryna Oleszczyńskiego.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90 kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15. Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. — Warszawa dnia 3 Sierpnia 1862 r.